

Teksty Drugie 2005, 1-2, s. 83-93



Gang strukturalistów

Michał Głowiński

Roztrząsania i rozbiory

Gang strukturalistów

Do lektury książki Dominika Lewińskiego¹ przystępowałem z zaciekawieniem, a także z osobistym zainteresowaniem, gdyż dotyczy ona zjawisk i wydarzeń, w których uczestniczyłem lub – przynajmniej – które miałem okazję obserwować z bliska. Od razu ujawnię, co o tej publikacji myślę: zarysowuje ona zdumiewającą karykaturę polskiego strukturalizmu, karykaturę osobiwą między innymi z tego powodu, że ów zapewne bardzo młody autor rozumie narrację naukową jako sposób demaskowania tych, których działalnością się zajmuje, i wywyższania się, a przede wszystkim jako okazję do formułowania arbitralnych i autorytatywnych, nasyconych emocjami ocen. Pośrednich i bezpośrednich. Co prawda na początku ów uczony doktor stwierdza, że strukturalizm to najlepsza rzecz, jaka się polskiej nauce o literaturze „przytrafiła” (już użyty tutaj czasownik budzi zdziwienie), w całym toku wywodów zapomina wszakże o tej niby-kurtuazyjnej deklaracji, przeciwnie, pisze tak, jakby chciał z nią polemizować, bo jego zadaniem jest ukazanie nicości polskiego strukturalizmu, a także osób, które go tworzyły. W pewnych momentach, takich, w których nawet nie chce udawać, że ma na celu rzetelną analizę, to ukierunkowanie aksjologiczne widoczne jest gołym okiem, chodzi bowiem autorowi wyłącznie o zdemaskowanie, umniejszenie, wykazywanie błędów i – w domyśle – niegodziwości. Nawet tak negatywnie pomyślaną próbę należałoby uszanować, gdyby miała poważny charakter, opierała się na rzetelnej znajomości przedmiotu i była przemyślana. Niestety, omawiana książka nie spełnia tych ele-

^{1/} D. Lewiński *Strukturalistyczna wyobraźnia metateoretyczna. O procesach paradygmatyzacji w polskiej nauce o literaturze po roku 1958*, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych Universitas, Kraków 2004, s. 300. Na wydanie tej pracy złożyły się dwie instytucje z Karkonoszy oraz Komitet Badań Naukowych. Cytaty lokalizuję w tekście, zaznaczając stronę w nawiasie.

Roztrząsania i rozbiory

mentarnych warunków, pełna jest omyłek, luk, znaczących przemilczeń i rażących błędów erudycyjnych. I opiera się na założeniu, że można sformułować wszelkiego rodzaju zarzuty nawet wówczas, gdy wchodzi z sobą w ewidentną sprzeczność, co prowadzi do konfliktu z podstawowymi regułami logiki. Kiedy te wywody czytałem, miałem wrażenie, iż autor wie, że dzwonią, ale nie jest świadom, w którym kościele.

Od razu stwierdzam: nie interesuje mnie obudowa teoretyczna i metodologiczna pracy, tym bardziej że została fatalnie dobrana, a poza tym stanowi machinę poruszającą się na jałowych obrotach (kategoria „wyobraźni” ma tu charakter wyłącznie ornamentacyjny, tak zresztą jak w studium Wojciecha Głowali, z którego została przejęta; nie warto się nią zajmować). Wszystko wskazuje na to, że praca ma być rozprawą z historii nauki, autor zaczerpnął wszakże koncepty i narzędzia z socjologii grup politycznych i – przede wszystkim – z socjologii grup przestępczych. Doceniam aparat pojęciowy teoretycznej socjologii, wiem jednak, jakie skutki przynosi jego niewłaściwe, momentami wręcz bezrozumne stosowanie (jest ono rażące tym bardziej, że autor nie uwzględnił współczynników społecznych, w jakich funkcjonował polski strukturalizm, a jeśli uwzględnił, to w sposób opaczny). O tym, jakie to ma konsekwencje dla wizji polskiego strukturalizmu, przekonamy się za moment. Zanim wszakże do tej sprawy przejdę, chciałbym zwrócić uwagę na styl, jakim napisana jest ta książka. Autor z pogardą wyraża się o „IBL-owskim języku”, był on wszakże przykładem jasności i elegancji w porównaniu z tego rodzaju prozą (przykłady takiego pisania idą w setki, cytuję pierwsze z brzegu):

Odmienna kompleksowość i poziom kontyngencji, różne środowiska wewnątrzsystemowe, inny kwant kulturowego czasu sprawiają, że odmiennie funkcjonalizują się dyskursy – literaturoznawczy i edukacyjny. [...] Tematyzacja niekompatybilności linii stosunków między systemami jest jednym z najczęściej podejmowanych „problemów” na linii stosunków między systemami, a próby jej „przezwyciężenia” stałym motywem w komunikacjach. Odczuwana dywergencja i brak synchronizacji jest pochodną ewolucyjną, której najważniejsze faktory spróbuję krótko opisać. (s. 198-199)

Gdybym był cyniczny, stwierdziłbym, że to świetnie, iż ta bałamutna, wysoce myląca praca napisana została w ten sposób, mało bowiem znajdzie się chętnych, gotowych poświęcić czas i wysiłek na jej uważne przeczytanie.

2

Autor w zasadzie nie zajmuje się tym, jakie naukowe zamierzenia, projekty, idee miał zespół autorów, rozpoczynający swoją działalność w młodym wieku w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Jest to – jak wynika z jego dywagacji – grupa, mająca na celu wyłącznie zdobywanie pewnych korzyści i zapanowanie nad dyscypliną. Dla pana Lewińskiego jest to przede wszystkim, a jak wynika z niektórych jego autorytatywnych dowodzeń, wyłącznie, grupa interesu. Tak jak grupą interesu jest nie tylko ugrupowanie polityczne, ale także związek przestępczy. O warszawskich autorach pisze się tutaj tak, jakby stanowili dobrze zorganizowa-

ny gang. Formuła taka wprawdzie nie pada, ale nasuwa się ona podczas lektury nieuchronnie, bo w ten sposób właśnie są oni przedstawiani. Na pierwszym miejscu mamy do czynienia z dobrze zorganizowaną kliką, robi ona to tylko, co jest w jej bezpośrednim interesie. W jej obrębie działa „g r u p a p r z y w ó d c z a”, a więc swojego rodzaju zespół bossów; składają się na nią cztery osoby, wymienione z imienia i nazwiska – tak zatem przedstawia się strukturalistyczna banda czworga. Owa czwórka wytycza cele i zabiega o interesy swojej organizacji. I oczywiście stoi na straży wyprodukowanej przez nią s u b k u l t u r y; jest to jedno z najczęściej powracających słów w książce. Strukturaliści taką subkulturę tworzą, dbają o to, by nikt nie działał na jej szkodę. Autor nie powiadomił wprawdzie, jakie są jej wyróżniki, choć określił ją jako specjalistyczną (s. 70), ale samo tak częste używanie słowa wnosi pewną atmosferę i – pośrednio – ocenę, skoro zwykło się je odnosić i to nie tylko w użyciach potocznych do tego, co aprobaty zyskać nie może (nie mówi się na przykład o subkulturze organizacji charytatywnych, mówi – choćby o subkulturze blockersów). Osoby znajdujące się w orbicie tej subkultury mają na względzie wyłącznie własne interesy i nimi jedynie się kierują. Dbają o „g r a - t y f i k a c j e”; jest to kolejne słowo często powracające². Autor nie wyjaśnia, na czym miałyby one polegać, nie pozostawia jednak wątpliwości: jest to jeden z celów zasadniczych, a może w ogólności główny cel wszelkich działań grupy. Ażeby osiągnąć to, do czego zmierza, „ś r o d o w i s k o” (słowo to jest tu z reguły synonimem „sitwy”) tworzy „k o a l i c j e”; wszystko bowiem, co robią figury do niego należące, zostało z góry i świadomie zaplanowane; dopuszczają one czasem do strukturalistycznego żłobu innych, ale tylko po to, by wzmocnić własną pozycję. Grupa przywódcza stworzyła „koalicję konferencyjną” po prostu po to, by ubezwłasnowolnić innych i ich sobie podporządkować (obiektom takich działań – zdaniem pana Lewińskiego – byli także pracownicy z małych ośrodków). W tym właśnie celu jej członkowie przeprowadzają różne „k a l k u l a c j e” i – oczywiście – wykorzystują „k o n i u n k t u r y”, no i dokonują rozmaitych „z a w ł a s z - c z e ń” (dowiedzieć się można, iż strukturaliści zawłaszczyli historię literatury, ale też – istna zgroza! – literaturę współczesną³). Tak na przykład uczonych cze-

^{2/} Taki choćby przykład: „Specjalistyczne, wyselekcjonowane kręgi uczonych odpowiadających za autoreprodukcję dyskursu orientują się na trwanie i zmiany przez nadmiarową produkcję (autorytetów, pojęć, tematów), która umożliwiła ekwiwalencję, tzn. takie następstwo stanów systemu, które zapewni środowisku uczonych realizację zakładanych w kalkulacjach gratyfikacji, zarówno socjalnych jak i dyskursywnych” (s. 134). Stylistykę tych dywagacji pozostawiam bez komentarzy. Dodam jednak, że niekiedy pojawiają się formuły przedziwne w rodzaju „strategia charyzmatyczna”.

^{3/} Autor w ogólności używa w najróżniejszych kontekstach słów o jednoznacznych konotacjach negatywnych. Mówi np. o „z l e p k u k a t e g o r y z a c j i” (s. 187; tutaj zresztą nie wiadomo, o co chodzi, ważny jest ton związany ze słowem „zlepek”), a kiedy chce poinformować, że w „Tekstach” ukazało się sporo artykułów na tematy edukacyjne, stwierdza, iż głosy na ten temat zostały w nich „r o z w ł ó c z o n e” (s. 200). Jak się okazuje, w tego rodzaju przypadkach nieporadnie piszący autor umie z dużą sprawnością zaznaczać swoje stanowisko.

Roztrząsania i rozbiory

skich i słowackich zapraszano na konferencje teoretycznoliterackie z czystego wyrachowania:

Zaproszenie ich spełniało znakomicie efekt propagandowy, nadając konferencjom status międzynarodowy, jednak, mimo możliwych chęci umiędzynarodowienia paradygmatu, w zgodzie z logiką systemu pozostawali oni poza realnym zasięgiem mobilizacji. (s. 69)

Słowo „m o b i l i z a c j a” też jest tu wysoce charakterystyczne, tak zresztą jak „s t r a t e g i a” i „t a k t y k a” (autor w ogólności ma upodobanie do wyrażań z dziedziny wojskowości); nie będę się tymi językowymi militariami zajmował, zwrócę tylko uwagę, iż autora nie zastanowiło, że wszelkie kontakty z kolegami z Czech i ze Słowacji zostały przerwane po inwazji Układu Warszawskiego w roku 1968. A stało się tak, oczywiście, nie dlatego, że utraciły dla organizatorów walor propagandowy, resztę pozostawiam domyślności Dominika Lewińskiego. Ów strukturalistyczny gang – rekapituluję wywody uczonego autora – ma zawsze na uwadze własne podejrzane interesy – i niezależnie, co konkretnie robi, dba o swoją subkulturową tożsamość. Z satysfakcją stwierdzam, że słowo „spisek” nie padło, czytelnik tego elaboratu ma jednak prawo się domyślać, że właśnie o działania spiskowe tu chodzi.

Nie muszę niczego dopowiadać, nie muszę bezpośrednio ujawniać, co o tego rodzaju ujęciu myślę, ta wizja wydarzeń mówi sama za siebie. Chciałbym jednak zauważyć coś, co mi się wydaje przerażające – nie ze względu na historię polskiego strukturalizmu, ale dzisiejszą świadomość młodego człowieka, który się nim zajął. Powinien on zakładać przedstawienie działań pewnej grupy pracowników naukowych, którzy opublikowali sporą liczbę książek, o coś w nauce zabiegali, mieli przed sobą jakieś programy i – by powiedzieć patetycznie – wyznawali jakieś ideały, a także kierowali się jakimś zespołem wartości. Ta problematyka jednak w ogóle autora nie interesuje – i to nie ze względu na stosunkowo wąski temat książki („wyobraźnia metateoretyczna”) – jest dla niego po prostu nieważna. Pewien zespół naukowców stanowi tu – w łagodniejszym sformułowaniu – grupę interesu, w ostrzejszym – sitwę, a w najostrzejszym – po prostu gang; jedyne do czego mają oni być zdolni, to perfidne manipulacje, gry i gierki. Niewiele to mówi o badaczach, wiele zaś – o świecie mentalnym Dominika Lewińskiego, o tym, jak on po prostu wyobraża sobie naukę. Mam kontakt z wieloma młodymi polonistami o różnych zainteresowaniach i różnych orientacjach teoretycznych, wiem przeto, że – na szczęście – w tego rodzaju myśleniu autor omawianej książki nie jest dla swojego pokolenia reprezentatywny.

3

Kiedy pisze się o dziejach nauki w drugiej połowie XX wieku (czy choćby jej takiego lub innego segmentu), trudno całkowicie ją odseparować od realiów Polski Ludowej. Dominik Lewiński w jakiejś mierze je uwzględnia, muszę jednak od razu stwierdzić, że w tej dziedzinie panuje w jego książce pomieszanie z poplątaniem. Myśląc o tych sprawach od lat, za pytanie podstawowe uznaję takie: jak to

Głowiński Gang strukturalistów

było możliwe, że w kraju, w którym obowiązywała oficjalna ideologia, wyrażająca się również w naciskach na nauki humanistyczne, w kraju o rządach autorytarnych, ukształtował się ruch, który z ideologią tą nie miał nic wspólnego, nawet nie robił wobec niej żadnych gestów, i przez kilka dziesięcioleci w miarę swobodnie się rozwijał, choć natrafiał na różnego rodzaju ograniczenia, przeszkody i utrudnienia?

Jeśli o ten krąg spraw chodzi, ważnym problemem jest niewątpliwie stosunek do marksizmu. Lewiński parokrotnie do tego powraca – i w wielu miejscach w sposób nader dziwny sprawę tę przedstawia. Przede wszystkim ma do grupy, którą się zajmuje, pretensje o to, że marksizm podgryzała i marksistów sekowała. Żale brzmią osobliwie, nie można ich jednak w czasie lektury nie dostrzec. Od razu należy zapytać: jaki marksizm? Autor nie wprowadza tu żadnych rozróżnień, chodzi mu wszakże o tych, którzy całkiem śmiało w latach sześćdziesiątych a pełną parą w okresie pomarcowym atakowali Instytut Badań Literackich. Kiedy czytałem wywody pana Lewińskiego, przypominały mi się różne, całkiem liczne, elukubracje marcowych docentów, prowadzących pod wodzą Jana Zygmunta Jakubowskiego nagonkę (a po jego śmierci w roku 1975 samodzielnie) na Instytut, a także na poszczególne jego działania i publikacje. Przypomniał mi się choćby artykuł jednego z marcowych mianowców, dowodzący, że póki istnieje Instytut, wydziały polonistyki na uniwersytetach nie będą mogły dobrze funkcjonować. Znane jest nazwisko jegomościa, aktywnego zresztą do dzisiaj, który słał memoriały do najwyższych władz komunistycznych, wnioskujące o natychmiastową likwidację Instytutu. A *Słownik terminów literackich* przez dziesięć lat nie mógł być wznawiany na skutek sprawnie zorganizowanej kampanii donosów i nagonek (głównie w piśmie „Przegląd Humanistyczny”), zarzucających właśnie lekceważenie marksizmu i realizmu socjalistycznego (w nagonce tej do pomocy ściągnięto posiłki w postaci pewnych autorów aż z Moskwy!). Przypominam o tym nie po to, by wylewać dawne żale, ale też nie po to, by sugerować, że Dominik Lewiński jest sojusznikiem czy pogrobowcem identyfikującym się z ofensywą ideologiczną ciemnych typów, dla których ortodoksja marksistowska i demonstrowana przy każdej okazji polityczna gorliwość były pałką giętą i chętnie używaną w walce z niezależną nauką. Chcę pokazać dwie rzeczy, uwydatnić, jak niewiele wie on o czasach, o których pisze, i jak działa zasada bezwzględnie obowiązująca w jego książce: wszystko, co robili jej bohaterowie, ma stać się przedmiotem potępienia, wszystko bowiem wynikało ze złych intencji i było rażącym błędem. W wielu miejscach postawa taka prowadzi do jawnego absurdu; tak na przykład zarzuca się Januszowi Sławińskiemu, że w jednym z artykułów opublikowanych w „Tekstach” w latach siedemdziesiątych, zalecał on liberalny model szkoły, w której wybór podręczników i lektur zależałby od nauczyciela. Zła wola autora sprawia, że negując wszystko, co się da, nie chce on uznać ani prekursorskiego charakteru tej wypowiedzi, ani jej niezwykłości na tle tego, co w tamtych czasach o problemach szkolnego nauczania głoszone.

W ogólności dziwne rzeczy dr Lewiński o Instytucie wypisuje. Przede wszystkim nie przyjmuje do wiadomości, że od czasów październikowych był on czymś

całkiem innym niż w latach 1948-1955, kiedy rzeczywiście jego zadaniem było wykuwanie nowej wiedzy o literaturze w stylu wulgarnego stalinowskiego marksizmu. Z tamtych czasów pochodzi zresztą formuła z chęcią w książce przywoływana, a mianowicie „IBL-owski język” (dodam dla porządku, że jeśli dzisiaj ktoś jej używa, to albo siłą inercji, albo ze złej woli). Autor traktuje Instytut Badań Literackich jako centrum władzy. Ci, co pamiętają tamte czasy, wyrazić mogą jedynie zdumienie. Równie wielkie zdumienie wywołuje opinia głosząca, że centrum władzy była redakcja „Tekstów” (panie doktorze Lewiński, naprawdę, ani Instytutu, ani „Tekstów” nie należy mylić z Wydziałem Nauki Komitetu Centralnego PZPR!). Może Dominik Lewiński rozumie słowo „władza” w jakiś szczególny sposób? Jakkolwiek by było, mamy tutaj do czynienia ze zwykłą groteską, niewykluczone zresztą, że przez autora nie całkiem zawinioną, bo ktoś mu takie absurdy podpowiedział, a on naiwnie w nie uwierzył.

Skoro już piszę o stosunku do marksizmu, to chciałbym wyraźnie stwierdzić, że między wybitnymi uczonymi, którzy do niego się odwoływali i którym ortodoksja, tak jak marcowa czerń, była w najwyższym stopniu obca, a tymi, którzy wybrali tendencje strukturalne, nie było konfliktów i antagonizmów. Przeciwnie, był po obu stronach szacunek, było zrozumienie, a także współpraca, w pewnych przypadkach zaś – wieloletnia przyjaźń (jak z Henrykiem Markiewiczem). Po przedwczesnej śmierci Kazimierza Budzyka (w marcu 1964) to marksista Stefan Żółkiewski uratował Katedrę Teorii Literatury Uniwersytetu Warszawskiego, godząc się na zostanie jej szefem i kontynuację dotychczasowego kierunku (praktycznie zlikwidowana ona została po marcu, kiedy z dawnych jej pracowników zostawiono bodaj jedną tylko osobę, tę, która najmniej likwidatorom wadziła); to marksistka Maria Janion podjęła się funkcji kuratora założonej przez Budzyka w Instytucie Badań Literackich pracowni i w ten sposób umożliwiła po jego śmierci kontynuację zaczętych prac przez najbliższe lata (myślę o tym do dzisiaj z wdzięcznością).

Bo też podziały przebiegały inaczej niż w okresie stalinowskim i inaczej niż to sobie wyobraża po latach nasz tak wielu rzeczy nieświadomy autor⁴. Pewna część marksistów i ci, co byli zwolennikami innych rozwiązań, znajdowali się po jednej stronie, jechali na tym samym wozie, bo i jedni, i drudzy poważnie traktowali naukę i wiedzieli, że podstawowym obowiązkiem uczonego jest zabieganie o jej wysoki poziom i profesjonalność. Po drugiej stronie znajdowali się ci, co naukę sprowadzali do klepania frazesów (niekoniecznie zresztą marksistowskich, także wziętych z polonistyki od pana Zagłoby), powtarzania ideologicznych banałów, pozycję zawodową zaś pragnęli osiągać wykazując polityczny zelotyzm. Tak się złożyło, że centrum tych tendencji, przyjmujących z reguły postać agresywną, zmierzano bowiem do całkowitego usunięcia przeciwników, stała się polonistyka

^{4/} Dobrym przykładem harmonijnej współpracy była wysoce udana kilkudniowa sesja z roku 1965 „Proces historyczny w literaturze i sztuce”; jej materiały ogłoszone zostały w osobnym tomie.

Głowiński Gang strukturalistów

(literacka) z Uniwersytetu Warszawskiego, w latach 1950-1975 zarządzana przez Jakubowskiego, a potem – przez jego niewiele się różniących uczniów.

4

Wybór niewłaściwych sfer odniesienia nie ogranicza się tylko do kontekstów politycznych i instytucjonalnych, autor po prostu nie orientuje się (lub nie chce orientować) w tym, co stanowiło ważne momenty w ewolucji i działaniu grupy, którą się zajmuje. Głównym punktem odwołań jest tu Zjazd Polonistów, który się odbył w roku 1958. Było to wydarzenie ważne dla całej dyscypliny, stanowiło ostateczne zakończenie trwającego przez lat kilka marksistowskiego monopolu w nauce o literaturze, ale my w tym wydarzeniu uczestniczyliśmy wyłącznie jako skromni obserwatorzy. Inaczej być nie mogło, mieliśmy niewiele ponad dwadzieścia lat, a tak młodych ludzi nie zaprasza się do czynnego udziału w tego rodzaju kongresach (pod tym względem Zjazd ów nie różnił się niczym od ostatniego Zjazdu Polonistów z września roku 2004).

Dla nas podstawowe znaczenie miało coś całkiem innego. Najpierw cykl seminariów poprowadzony przez Romana Jakobsona w Krynicy w listopadzie 1958 roku. To było wydarzenie przełomowe, nie tylko dlatego, że wielkie wrażenie robiło zetknięcie się ze światowej sławy uczonym o niezwykle bujnej osobowości, to było pierwsze tak bogate i dynamiczne wprowadzenie w metodologię strukturalistyczną. Jakobson referował między innymi tezy swojej wówczas jeszcze nieopublikowanej, w pewnym sensie od razu klasycznej, rozprawy *Poetyka w świetle językoznawstwa* (w wersji polskiej, opracowanej przy współudziale autora, ukazała się dwa lata później w „Pamiętniku Literackim”). W ciągu następnej dekady (do roku 1968) Jakobson przyjeżdżał do Polski co roku, wygłaszał wykłady, prowadził seminaria, uczestniczył w dyskusjach.

Następnym niezwykle doniosłym wydarzeniem była wielka międzynarodowa Konferencja Poetyki, jaka odbyła się w Warszawie latem 1960 roku. Przyjechało kilkudziesięciu uczonych, językoznawców, badaczy literatury, folklorystów z kilkunastu krajów, był to pierwszy tego rodzaju kongres w Polsce w okresie powojennym (nie tylko w naszej dyscyplinie). Może raz w życiu miało się taką szansę: obserwować dyskusję między Romanem Jakobsonem i Romanem Ingardenem. Ważnym wydarzeniem była kolejna międzynarodowa konferencja (Jabłonna 1961), o mniejszym rozmachu, ale równie inspirująca. W następnych latach, aż do roku 1968, odbywały się w Warszawie kolokwia, seminaria, dyskusje z udziałem wybitnych uczonych z wielu krajów, z Zachodu i ze Wschodu. Działo się to dzięki talentom i wysiłkom Marii Renaty Mayenowej, która żywiła gorące przekonanie, że nauka i życie naukowe nie mają prawa być prowincjonalne. Nasze młode lata nie toczyły się w zaścianiu, wprost przeciwnie.

Wspominam o tym, bo pan Lewiński twierdzi w którymś momencie z nietajoną wyższością, że odizolowani byliśmy od nauki światowej. Żeby zdać sobie sprawę, w jak wysokim stopniu jest to teza kłamliwa, wystarczy wymienić nazwiska choćby niektórych uczonych, którzy do Warszawy przyjeżdżali z odczytami i wykładami.

Roztrząsania i rozbiory

Obok wspomnianego już Romana Jakobsona – Jan Mukařovský, Roland Barthes, A.J. Greimas, Pierre Guiraud, Emile Benveniste, Meyer Shapiro, Wiktor Źirmunskij, Dmitrij Lichaczow i dziesiątki innych. Pojawiali się też uczeni ówczesnie młodzi, ale już głośni, jak Umberto Eco, Wiaczesław Iwanow, Władimir Toporow, Lubomir Doležel. Życzylbym każdemu młodemu uczonemu, w tym także Dominikowi Lewińskiemu, aby dane mu było osobiste zetknięcie się w stosunkowo krótkim czasie z tego rodzaju mistrzami światowej humanistyki.

O odcięciu od tego, co się działo na świecie, trudno mówić z jeszcze jednego powodu. Biblioteka Instytutu Badań Literackich od połowy lat pięćdziesiątych doskonale była zaopatrzona w książki i czasopisma w wielu językach także z teorii literatury (ktoś trafnie powiedział, że jest to najlepsza biblioteka specjalistyczna od Berlina Zachodniego po Władywostok). Pamiętam, że nasi czescy koledzy z nieukrywaną zazdrością patrzyli na tę wspaniałą kolekcję, a niektórzy starali się specjalnie o stypendia do Warszawy, by choćby przez dwa tygodnie móc tu przeglądać zachodnie książki i czasopisma.

Muszę się upomnieć o jeszcze jeden wątek. Wielkie znaczenie miała dla nas tradycja wczesnego polskiego strukturalizmu warszawsko-wileńskiego⁵. Działo się tak, rzecz jasna, za sprawą lektur, ale także – kontaktów osobistych. Nasi mistrzowie wywodzili się z tego kręgu, a niektórzy z nas w latach studenckich trafili na wspaniałe ćwiczenia z poetyki prowadzone przez Marię Rzeuską, w latach trzydziestych uczennicę Manfreda Kridla. Wielkie znaczenie miały dla nas również prace innego uczonego wywodzącego się z kręgu wileńskiego, profesora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Czesława Zgorzelskiego, autora znakomitych studiów o liryce romantycznej. Tak w najogólniejszych zarysach należałoby przedstawić kontekst, w którym kształtował się polski strukturalizm.

5

Jestem w stanie się zgodzić, że autor swoiście ukierunkowanej książki o strukturalizmie interesuje się tylko pewnymi jego aspektami. Nie wymagam od niego, by pisał pełną monografię, uważam jednak, że ktoś, kto podejmuje tego rodzaju zadanie, powinien znać dorobek tych, którymi się zajmuje. W książce znaleźć można obszerną bibliografię – i do tego sprawa się ogranicza. Z publikacji tej można się dowiedzieć, że strukturaliści są perfidnymi graczami i zręcznymi manipulatorami, zawiązują koalicje i organizują konferencje w wiadomych sobie zawsze podejrzanych celach, wydali podręcznik i słownik terminów literackich oraz dysponowali czasopismem, z którego uczynili swoją tubę, a jeśli dopuszczali do niego kogoś spoza swojego kręgu, to tylko po to, by go sobie podporządkować. Choćby już na podstawie tej obszernej bibliografii nieświadomi rzeczy czytelnicy mogą się zorientować, że ci ludzie nie zajmowali się manipulacjami i intrygami, przede

^{5/} Zob. jego wysoce udaną monografię pióra A. Karczka *The Polish Formalist School and Russian Formalism*, Rochester–Kraków 2002. Szkoda, że pan Lewiński jej nie zna, dowiedziałby się różnych ciekawych rzeczy i zobaczył, jak należy pisać rozprawy z historii nauki.

wszystkim pisali książki i rozprawy. O czym? Na to pytanie już jednak w rozważaniach pana Lewińskiego odpowiedzi się nie znajdzie, jeśli zaś ktoś chciałby się czegoś dowiedzieć, to zostanie wprowadzony w błąd. O pewnych grupach problemów nie ma nawet najmniejszej wzmianki, choćby o studiach z teorii interpretacji (a to pozwoliłoby rozsądniej niż w książce ująć sprawę stosunku do hermeneutyki), o pracach dotyczących odbioru dzieła literackiego lub szeroko rozumianej narratologii.

Autor twierdzi, że historycy i teoretycy literatury z kręgu strukturalistycznego poddawali refleksji wyłącznie literaturę współczesną, przede wszystkim – poezję. By się przekonać o tym, że jest to twierdzenie kłamliwe, wystarczy sięgnąć tylko po tytuły kilku pozycji z pierwszych lat naszej pracy. Teresa Kostkiewiczowa wydała książki o twórczości Franciszka Karpińskiego i Książka, Aleksandra Okopień-Sławińska – książkę o romantycznym wierszu wolnym. Ale zajmowano się nie tylko poezją. Znakomite, dzisiaj już klasyczne, prace poświęcone formom epickim publikował Kazimierz Bartoszyński, ukazały się ważne tomy zbiorowe (*W kręgu zagadnień teorii powieści* [1967], *Studia o narracji* [1982]), a piszący te słowa ogłosił w latach 1968-1973 trzy książki poświęcone tej problematyce. Takich drobiazgów pan Lewiński nie jest skłonny dostrzegać. Tak samo nie zauważa licznych rozpraw poświęconych krytyce literackiej. W pewnym momencie wydziwiał na temat tego, co przeczytał w *Zarysie teorii literatury*. Gdyby znał jednak prekursorskie rozprawy Janusza Sławińskiego poświęcone badaniom nad krytyką literacką, być może zrozumiałby, o co chodzi. Teza, że współczesna literatura stanowi główny rejon odniesienia, jest tym bardziej aberracyjna, że strukturalistyczne metody analizy i ujęcia oddziaływały na badania nad literaturą staropolską. Ich rozwój w ostatnich dziesięcioleciach, jaki zawdzięczamy między innymi takim znakomitym uczonym, jak Jerzy Ziomek i Czesław Hernas, jak Janina Abramowska i Teresa Michałowska, w jakiejś mierze wynikał z tego, że sięgnęli oni po narzędzia wypracowywane w kręgu strukturalistycznym.

Pewne błędy przypisać można – jak się zdaje – dążeniu do ułatwiania sobie życia (a może niedbalstwu, kto wie?). Pisząc o konferencjach teoretycznoliterackich autor tak ujmuje przedmiot, jakby odbywały się one tylko w latach sześćdziesiątych, a z powodzeniem kontynuowane są do dzisiaj (z lekko zmienioną formułą). Podobnie jak w tamtej dekadzie ukazują się książki zbiorowe zawierające wybory wygłaszanych w ich czasie referatów. Autor postępuje w ten sposób, jakby nie wiedział, że ta inicjatywa jest konsekwentnie kontynuowana. I wprowadza w ten sposób w błąd czytelników. Podobnie, snując wysoce niechętnie dywagacje na temat „Tekstów”, nie wspomina ani słowem, że pismo przestało wychodzić w roku 1981. Zawieszono je wraz z ogłoszeniem stanu wojennego, jak wszystkie czasopisma poza „Trybuną Ludu” i „Żołnierzem Wolności”, ale po kilku miesiącach – jak to się pięknie wówczas mawiało – zostały one odwieszane. Nie dotyczyło to wszakże „Tekstów”, decyzją władz komunistycznych przestały się one ukazywać. Musiał się zmienić ustrój, by w roku 1990 można było je wznowić. Oczywiście tak doniosły fakt nie ma prawa być obojętny dla kogoś, kto poddaje

Roztrząsania i rozbiory

dwumiesięcznik analizie. Pan Lewiński wszakże tego rodzaju drobiazgu nie zauważa, napomknięcie o nim byłoby zapewne poniżej jego osobistej i naukowej godności.

6

Nie wymieniłem wszystkich dziwactw i uchybień, jakie w tej osobliwej publikacji można znaleźć. Nie znam osobiście pana Lewińskiego, nic o nim nie wiem poza tym, czego się dowiedziałem z książki. Obecnie mi jest psychologizowanie, przed pewną uwagą nie mogę się wszakże powstrzymać. Młodzi pracownicy nauki nie określają się zwykle wobec badaczy dużo od siebie starszych, czynią to z reguły wobec bezpośrednich poprzedników (i – ewentualnie – rówieśników). Kiedy około roku 1960 kończyłem pracę doktorską, nie przyszło mi do głowy określać się wobec Juliusza Kleinera i Stanisława Pigonia, wobec Konrada Górskiego i Juliana Krzyżanowskiego, to już byli dla mnie klasycy. Określałem się (i nie byłem w tym odosobniony, bo tak samo czynili moi koledzy) wobec badaczy z pokolenia 1910 oraz bezpośrednich poprzedników, w tym przypadku marksistów urodzonych w latach dwudziestych. Zastanawiam się, co skłoniło Dominika Lewińskiego, by się określać wobec teoretyków i historyków tak znacznie od siebie starszych, by wyładowywać na nich swoje frustracje (są one w książce widoczne gołym okiem), a więc w stosunku do generacji, która dla niego jest już generacją babć i dziadków, co go skłoniło do pisania o tym, co działali, z tak dużym nasileniem nienawistnych emocji. Zaiste trudno zrozumieć, dlaczego ta niechęć do badaczy w większości urodzonych w ostatnim dziesięcioleciu przedwojennym, a w pewnych wypadkach starszych, zabarwiona jest w tak wysokim stopniu osobistą niechęcią. Nawet gdyby chodziło o zawiść z powodu niekwestionowanego sukcesu, jaki grupa ta osiągnęła, to permanentne tłumaczenie wszystkiego na jej niekorzyść⁶ i nieustanne wywyższanie się, budzi zdziwienie. Powiem bez ogródek, wydaje mi się, że frustracja jest w tym przypadku w jakimś stopniu frustracją nabytą czy odbitą, wyuczoną, przez kogoś nadaną bądź podsuflowaną. Osobliwa to zaiste sytuacja.

Książka Dominika Lewińskiego była pierwotnie pracą doktorską obronioną na Uniwersytecie Wrocławskim. Autor zgodnie z przyjętymi obyczajami dzięki swojemu promotorowi, profesorowi Wojciechowi Głowali, za „życzliwą opiekę naukową”, wyraża mu wdzięczność „za rady, uwagi krytyczne i dyskusje”, które miały się okazać tak korzystne, dziękuje obydwu recenzentom; na owej liście wdzięczności znajduje się także bliżej nieznany dr Marek Graszewicz – z racji „pomocy, jaką mi okazał, wpływając niewątpliwie na ukierunkowanie moich poszukiwań” (s. 11). Nie interesuje mnie ten tajemniczy doradca, zajmuje mnie rola pro-

^{6/} Czasem te pretensje o wszystko mają charakter irracjonalny i zgoła groteskowy. Jako przykład przywołam drobiazg: z trudnych do zrozumienia powodów ma się tu za złe fakt, że „Teksty” były dwumiesięcznikiem. Zdaniem pewnego siebie, wypowiadającego się jak autorytet we wszelkich możliwych materiałach autora powinny się one ukazywać w innych odstępach czasowych. <http://rcin.org.pl>

Głowiński Gang strukturalistów

motora. Otóż na podstawie lektury książki wnioskuję, że tutaj odegrana ona została fatalnie.

Jednym z zadań promotora jest takie kierowanie rozprawą doktorską, by uchronić jej autora przed pisaniem głupstw i rzeczy kłamliwych, przed formułowaniem twierdzeń, które w żadnym stosunku nie pozostają do rzeczywistości, przed stosowaniem procedur, które niezgodne są z zasadami pracy naukowej (choćby z tej racji, że wchodzi w konflikt z regułami logiki), przed bełkotem wreszcie. Otóż promotor dr. Lewińskiego tych podstawowych zadań nie spełnił. Wojciech Głowala jest młodszy od negatywnych bohaterów dywagacji zawartych w *Strukturalistycznej wyobraźni metateoretycznej*, nie jest wszelako młodzieńcem – i o pewnych rzeczach powinien wiedzieć lub choćby przez mgłę sobie je przypominać. Powinien wiedzieć również dlatego, że przez czas jakiś zajmował się pomocą przy redagowaniu tekstów w „Pamiętniku Literackim”, a jest to organ Instytutu Badań Literackich, wiedza o jego sytuacji i atakach, jakich był przedmiotem, nie mogła do niego nie docierać, były to zresztą rzeczy powszechnie znane w kręgu akademickim. Powinien wiedzieć nie tylko zresztą o realiach PRL-owskich, powinien wiedzieć, jak znaczna od początku była rola konferencji teoretycznoliterackich, jak wielkie znaczenie jako pismo niezależne i wciąż borykające się z cenzurą miały „Teksty”, jaką wreszcie wagę miał jako całość ruch naukowy, któremu udało się funkcjonować przez kilka dziesięcioleci, nie ulegając naciskom ideologicznym. Wojciech Głowala powinien swojemu doktorantowi coś z tych rzeczy uświadomić, a nie pozwalać na pisanie podszytych emocjami kłamstw, a także na pseudonaukowy bełkot. Książka Dominika Lewińskiego świadczy, że prof. Głowala, nie nadając pracy właściwego kierunku, wyrządził swojemu podopiecznemu krzywdę. To niewątpliwie w dużej mierze za jego sprawą pracowity i ambitny, a także zapewne zdolny młody pracownik naukowy stał się autorem bezwartościowej książki. Ujawnia się tu zresztą kwestia ogólniejsza, kwestia zwykłej ludzkiej odpowiedzialności.

Michał GŁOWIŃSKI